

Czasowstrzymywacz cz. 7

Anonimowy Grzybiarz

27

Jak na tak późną porę, w tramwaju panował niezwykle tłok.

Każda klasa społeczna postanowiła tamtego dnia, o tamtej godzinie wysłać jednego ze swych przedstawicieli do tamtego tramwaju. Był tam więc spocony grubas, rozwrzeszczane dziecko, piękna kobieta, biznesmen w garniturze, pewien małoletni kozak. Nawet gildia żebraków stanęła na wysokości zadania i wysłała jednego ze swoich żołnierzy. Zbiorowisko ludzkich charakterów było więc bardzo zróżnicowane. Niestety, takie nagromadzenie „luda” w jednym miejscu źle wpływało na naturalną filtrację powietrza, które było ciężkie i stojące.

Otwarte okna, czasem wpuszczające do środka świeży podmuch, na dłuższą metę nie spełniały oczekiwań podróżujących.

Cała sytuacja ogromnie mnie irytowała. Również to, jak chwilę wcześniej potraktował mnie Brat, nie wpływało kojąco na mój burzliwy nastrój.

Tramka zatrzymała się na przystanku. Otwarcie drzwi spowodowało chwilowy przeciąg. Kilka osób wysiadło, kilka wsiadło – jak to na przystankach z reguły bywa. Wśród wsiadających, moją uwagę zwróciła pokaźna grupa narzekających na wszystko staruszek, wojowniczo wygrażająca ludziom torebkami. Babcie chyba należały do jakiejś organizacji, ponieważ wszystkie miały identyczne, moherowe berety.

Tramwaj ruszył. Stojący za mną jegomość zakaszlał kilka razy. I wtedy, ta cienka granica, która powstrzymywała mnie przed wybuchem, pękła w jednym momencie.

- Zatykaj pan usta, jak pan kaszlesz! Mama nie uczyła?! – ryknąłem.

- ... szam – bąknął tamten speszony i podał mi chusteczkę higieniczną – widać tlił się w nim jeszcze instynkt samozachowawczy.

- Dzięki – powiedziałem, biorąc chusteczkę. – Ale nie myśl pan, że to koniec! Zapamiętałem cię!

Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na mnie. Ktoś nieśmiało zaklaskał, mówiąc że „w dzisiejszych czasach, nie można tak bezkarnie kaszleć na ludzi”. Moherowe babcie uformowały ordynek bojowy, tak na wszelki wypadek, gdybym okazał się kimś, przed kim trzeba bronić Ojczyzny. Jeden z nastolatków zaczął krzyczeć, że jestem ziomek i ma do mnie szacunek.

Podszedłem do niego, a ludzie ustępowali mi z drogi. Nachyliłem się do ucha młodzieńca.

- Cichaj, pajacu. Nie jestem twoim kolegą, żebyś tak krzyczał, a po tym co pokazałeś, nawet nie chce nim zostać – szepnąłem. Na odchodnym dodałem jeszcze: - Ziomków to se na wsi szukaj.

Miałem dość i postanowiłem wysiąść na najbliższym przystanku.

- Przepraszam, może pan potrzymać...? – zagadnęła młoda kobieta i wepchnęła mi w wyciągnięte ramiona małe dziecko. Sama schyliła się i zaczęła poprawiać coś przy wózku bobasa.

- I co, maluszku? – zapytałem, gdy szkrab zaczął z całej siły ciągnąć mnie za brodę.

- Ojej! Cześć! – powiedział jakiś nowy, lecz znajomy, głos. Chciałem obrócić głowę, by zobaczyć kto to, ale...

... właśnie wtedy tramwaj w coś uderzył.

28

Z akompaniamentem wielkiego huk, zgrzytu, oraz odgłosu tłuczonego szkła moje stopy oderwały się od

podłóża. Podobnie, jak stopy większości innych osób, jadących wtedy publicznym transportem. W locie poczułem, jak coś miękkiego we mnie uderza, a potem przywaliłem całą powierzchnią pleców w metalową podłogę.

Wylądowałem w dziwnej pozycji, z ramionami wyciągniętymi maksymalnie do góry, by trzymanemu przeze mnie dziecku nic się nie stało.

Osobą, która najpierw powiedziała „Ojej! Cześć!”, później we mnie uderzyła, a teraz na mnie leżała, była tą samą dziewczyną, którą w baku dusił Bluszczyk. Co za zbieg okoliczności. Nawet duże miasta, są jednak małe.

Cały wagon wypełnił się jękami poszkodowanych, w tym nagłym i nieplanowanym przystanku. Jediną postacią, którą ucieszył taki obrót spraw, był bobas, zwisający bezwładnie w moich dłoniach, śmiejący się na głos i bijący brawo z zadowolenia.

- Przepraszam – wyjęczała, leżąc na mnie dziewczyna, i zaczęła się podnosić.

- Nie ma sprawy.

Wstałem i rozglądałem się w poszukiwaniu matki dziecka. Nie mogąc jej nigdzie dostrzec, zwróciłem się do małego:

- I co, maluchu? Gdzie zgubiłeś mamę? – dziecko, jakby rozumiejąc, wzruszyło ramionami.

Mama znalazła się chwilę później. Spory problem sprawiło jej wydostanie się z wózka, do którego wpadła, gdy tramwaj się zatrzymał. Przynajmniej miała miękkie lądowanie.

Oddałem kobiecie, co jej i skierowałem się w stronę drzwi. Zacięły się, więc musiałem użyć prawej nogi i pewnej siły, by móc wydostać się na zewnątrz. Zeskoczyłem na asfalt i zacząłem iść w kierunku pierwszego wagonu, by zobaczyć co się tak naprawdę stało.

A stało się dużo i szybko.

29

Pierwszy wagon dachował, leżąc na lewym pasie. Przez rozbite szyby, próbowali wydostać się ranni, którzy znaleźli w sobie dość sił. Szorujący po jezdni tramwaj skasował kilka aut. Zniszczenia były ogromne. W oddali słychać było syreny.

Powodem, dla którego pojazd wypadł z ustalonej trasy był... brak torów!

Nagle się urywały. Zniknęły, wyparowały. Nie było torów.

Grupa ludzi, określanych najczęściej mianem „żuli” ukradła tory. Przepraszam, muszę doprecyzować to co właśnie powiedziałem, bo „grupa” żuli nie określa jasno ich liczebnego stanu. Myślę, że nie skłamię, jeśli powiem, że było to największe skupisko żuli w tej części galaktyki.

Sprytne bestie skumały się w pary i w takiej konfiguracji schylali się, podnosili szynę i zaczynali uciekać. Tak po prostu.

Widziałem wiele rzeczy w życiu, ale epickość tamtej sceny, sprawiła że rozpadłem się na atomy i potrzebowałem dłuższej chwili, by złożyć się z powrotem.

Skoro za całą aferę odpowiedzialne były żule, to tylko jedna osoba na świecie była w stanie mi pomóc.

30

Zaraz za mną, z tramwaju wypadły staruszki. Kręcąc młynki swoimi torebkami rzuciły się w pogoń za żulami. Oczywiście, nie mogło się obyć bez walecznych okrzyków, podgrzewających serca niewiernych do walki.

- Za Kraj, za Ojczyznę!

- Za Radio Maryja!

- Obojętne za co, byleby leki były tańsze!

- Za Ojca!
- Ty, Kazia, czekaj... Jakiego ojca? Mojego, czy twojego?
- Głupia! Naszego wspólnego Ojca!
- A, tego! – krzyknęła Głupia, nadal jednak wyglądająca na nieprzekonaną. Mimo wątpliwości targających jej starczą duszę pobiegła za przyjaciółkami.

31

Do domu wróciłem w towarzystwie, znanej mi już, dziewczyny z banku. Okazało się, że ma na imię Anna Katarzyna, jest dwa lata młodsza ode mnie (jeszcze studiuje) i dobrze nam się rozmawia. Zapytała, czy nie chciałbym się jeszcze kiedyś spotkać, a ja zastanowiłem się chwilę. Dosłownie kilka sekund, bo nie było nad czym myśleć. W podjęciu decyzji pomogła mi niecodzienna uroda, jaką obdarzona była dziewczyna, wspólne zainteresowania i to, że jakby nie patrzeć, uratowałem jej życie przynajmniej raz. Można by nawet powiedzieć, że półtora, bo nigdy nie wiadomo, w co by uderzyła, gdyby nie wylądowała na mnie w tramwaju.

- Bardzo chętnie – odpowiedziałem.

Uśmiechnęła się przepięknie, słysząc to i zaproponowała termin.

- Dziś wieczorem nie mogę – odpowiedziałem martwym głosem, myśląc o tym, jak miłe spotkanie mnie czeka, gdy zajdzie słońce.

Chyba dostrzegła ton, jakim to powiedziałem i cień, który najpewniej padł wtedy na moją twarz, bo o nic nie zapytała, tylko dała mi swój numer i poprosiła bym zadzwonił, kiedy znajdę czas.

- Zadzwon kiedy znajdziesz czas. – Nawet nie wiedziała, jak prorocze zdanie padło z jej ust.
„... znajdziesz czas.”

C.d.n.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

AnonimowyGrzybiarz, dodano 08.06.2010 09:26

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.